Kraków, 31-go maja 1914 r.

Rok 10. Nr. 11.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 22.

Dzieci kochane!

Oto nadeszły znowu Zielone Swiątki — te wesołe, miłe święta, w które już i na świecie zielono i koło każdej chaty, każdego domu powiewają gałązki zieleni i kościoły ozdobione drzewkami wygladają niby gaiki. To święto obchodzili już w Starym Zakonie Zydzi na rozkaz Boży, a obchodzili je na pamiątkę nadania 10 przykazań. My katolicy obchodzimy je na pamiątkę zesłania Ducha Swiętego na Apostołów. Zstąpił na nich wśród szumu wichru w postaci ognistych języków i w jednej chwili ich przemienił. Z bojaźliwych stali się odważnymi, zrozumieli i przypomnieli sobie dokładnie wszystko, co ich Pan Jezus nauczył i umieli mówić różnymi językami.

Ten sam Duch Swięty i do Twojej duszy wszedł, dziecko kochane, gdy cię kapłan ochrzcił. Wszedł i przyniósł ci świętość czyli łaskę poświęcającą, która ozdobiła duszę Twoją niby śliczna biała sukienka, uczyniła cię miłem Bożem dzieckiem. O strzeż tej sukienki i nie plam jej grzechem żadnym dobrowolnym. Jeślibyś zaś kiedy zgrzeszył ciężko, spiesz zaraz do spowiedzi; przez nią znowu Duch Swięty wejdzie do Twojej duszy, aby cię uczyć dobrego, i do nieba prowadzić. Duch Swięty to Bóg; On cię kocha, chce, byś był szczęśliwy już tu na ziemi, a bardziej jeszcze po śmierci. Więc Go kochaj dziecko i módl się codzień do Niego: „Przyjdź Duchu Swięty, napełnij serca wiernych Twoich i zapal w nich ogień miłości Twojej!“

WEZWANIE.

Hej! do pieśni! Hej! do chóru!
Wzywa wiosna, maj;
Hej! już próby odbywają
Lasy, pola, gaj!

Już się łączą ptasząt głosy
W cudny, zgodny śpiew,
Wtóruje im szmer strumyka
I szum leśnych drzew.

Brzęczą, dzwonią małe pszczółki,
Lecąc z różnych stron,
Coraz inne instrumenty
Dostrajają ton.

Szelest listków... kwiatów szepty,
Słodki pogwar... śmiech...
Cała ziemia rozśpiewana...
Tyle dźwięcznych ech!

Hej! fujarko! hej! wierzbowa!
Graj-że i ty, graj!
Łącz się z chórem pieśni świata!
Wzywa wiosna... maj.

I ty, dziewczę, ozwij-że się,
Spiewaj, ciesz się śmiej!
Pieśń — to rozkosz! śpiew — to życie!
Hej! do chóru!... hej!

Przebiegły chrabąszcz.

— A nareszcie cię mam — mówił szpak do chrabąszcza, chwytając go w dziób, — Nad takim marnym robakiem tyle się namęczyć trzeba.

— Mój drogi, mój złoty! — wołał chrabąszcz — daruj mi życie jeszcze choć chwilkę, tyle przecież masz w polu innych owadów, zostaw mnie biednego!

I owad brzęczał tak żałośnie, że się szpak ulitował, wypuścił go z dzióba i tylko nogą przytrzymał jeszcze.

— Po cóż ci to życie, marny robaku? — pyta szpak z politowaniem patrząc na biednego chrabąszcza.

— Chciałbym jeszcze trochę świat obejrzeć, świeżem powietrzem odetchnąć, słonku się przyjrzeć; zaledwie przecie drugi dzień, jak wyjrzałem na światło dzienne — brzęczał chrabąszcz, przyciśnięty nogą ptaka,

— To mi gada — odrzecze ptak. — Taki duży, a z jajka dopiero co wyszedł. Jak mi będziesz tak plótł, to zaraz cię schrupię.

Zadrżał biedny chrabąszcz ze strachu.

— Bo też to nasze dzieciństwo do waszego nie jest podobne, oj, nie!... — zaczął znowu.

— Ciekawy jestem, co tam innego! — odrzekł dumnie szpak. — Ot, pleciesz sobie nie wiedzieć co!

— Zechciej posłuchać, a nie pożałujesz, skoro nas poznasz — powiada chrabąszcz ciągle jeszcze drżąc ze strachu przed dziobem szpaka. — Wyspowiadam ci się ze wszystkiego, co mię spotkało i com zrobił w życiu swojem. Ale, mój drogi szpasiu, podnieś trochę nogę, bo ja nietylko mówić, ale i oddychać nie mogę. Nie bój się, nie odlecę! Patrz, jak skrzydła mam skaleczone!

Szpak z natury był bardzo ciekawy, a chociaż udawał, że go chrabąszcz nic nie obchodził, podniósł jednak z lekka nogę, a owad wolno stąpając, dostał się do listka i zaczął opowiadanie.

— Pamiętam siebie tylko od tego czasu, jakem wyszedł z jajka. Byłem wówczas długim pędrakiem. Leżałem w ziemi. Przykro jakoś było z początku, ciemno i zimno... Głód srogi dokuczał. Poruszyłem się raz, drugi, utorowałem sobie drogę i dopełzłem do korzeni jakiegoś młodego drzewka. Probuję ugryźć kawałek, smakuje, a więc dalej gryzę. Przychodzę potem do drugiego, trzeciego i tak powoli objadam korzonki drzewek młodych i trawek.

— Ach, ty nicponiu — powiada szpak oburzony — to i w dzieciństwie szkody wyrządzasz! Nie daruję ci życia!...

I zbliżył się znowu do chrabąszcza.

— Czekaj-że, czekaj, najciekawszego szczegółu z mojej historyi nie słyszałeś!...

Szpak pohamował się, cofnął, a chrabąszcz mówił:

Trzy lata spędziłem tak w ziemi.

— Trzy lata! — wykrzyknął ptak — i nikt się nie znalazł, coby was ukarał za rabunek!

— O, gdzież tam! mieliśmy dosyć nieprzyjaciół, kret szczególnie spokojności nam nie dawał. Ileż to naszych braci wyginęło! A czy to mało jest w ziemi owadów, czyhających na naszą skórę? Mnie jakoś udało się szczęśliwie ujść niebezpieczeństwa.

W czwartym roku czuję, że skóra na mnie tężeje: staje się ociężałym, tracę apetyt i jakoś na sen mi się zbiera. Wyłażę trochę wyżej ku powierzchni ziemi. Tu przekształcam się w poczwarkę i zasypiam.

— Przepraszam cię, mój drogi, ale mi się już jeść zachciewa; nie mogę cię dłużej trzymać — powiada szpak, nachylając się do chrabąszcza.

— Zaraz, zaraz! — odpowiedział chrabąszcz. — Zjesz mnie, i owszem, tylko wysłuchaj najciekawszego miejsca z opowiadania o mojem życiu.

— A prędko to nastąpi? — zapytał szpak.

— Niezadługo — odpowiedział owad, wyprostowując swoje nadszarpnięte skrzydło.

— Pół roku — ciągnął dalej — a może i więcej tak przespałem. Nademną podobno śniegi leżały, mrozy ściskały ziemię, wiatry się unosiły, ale ja tego nic nie czułem.

Dnia pewnego budzę się niezwykle silnym i widzę w sobie wielką zmianę. Mam głowę, piersi i odwłok, jak i każdy owad: mam sześć nóg, dwie pary drobnych skrzydeł, na głowie rożki ze szczoteczkami do obgrzebywania ziemi z oczu, słowem jestem owadem doskonałym.

— I poleciałeś czemprędzej liście objadać. Znam ja ciebie ladaco! — wołał gniewnie ptak i podskoczył nad chrabąszczem.

— Zaraz — odrzekł, cofając się trochę owad — teraz właśnie dochodzimy do najciekawszego miejsca.

I chrabąszcz znowu zaczął opowiadać:

— Niedługo siedziałem w tej ciasnej ciupie, szarpnąłem się raz, drugi raz, zerwałem oponę i byłem wolny. Nie namyślając się bardzo, zacząłem wdrapywać się do góry, zabrzęczałem skrzydłami i wzniosłem się wysoko, wysoko!

Przy tych słowach chrabąszcz wzleciał tak prędko, że szpak ani się obejrzał, jak on już nad nim bujał.

— O, nikczemny ladaco, udaje nieboraka, a to oszust zawołany! — krzyczał w gniewie ptak, lecąc za nim. Próżne to były wysiłki: chrabąszcz wzbił się już wysoko i tylko z daleka brzęczał:

— Bywaj zdrów, przyjacielu, doszedłem do najciekawszego miejsca w mojem opowiadaniu, a na przyszłość bądź mądrzejszym!

— Brawo, szpasiu, brawo! — śmiały się ptaki — ładnieś został w pole wyprowadzony.

Szpak był rzeczywiście zawstydzony niepomyślnym zakończeniem łowów i ukrył się przed kolegami w gęstwinie.

OGIEŃ.

„Drewienkiem z główką potrzyj o ścianę, a zaraz z tego ogień powstanie". Co to jest?

Zapałka! — Tak, zapałka. Malutka rzecz, a bardzo pożyteczna. Bo cóżbyśmy kłopotu mieli bez zapałek! A przecież ogień koniecznie potrzebny: on nas ogrzewa w chłód i niepogodę, przy nim gotujemy żywność. Bez ognia w zimie w naszym kraju pomarzlibyśmy wszyscy i umarli. W wielu krajach jest jeszcze daleko chłodniej, więc ogień człowiekowi do życia niezbędny, a jakże go rozniecić bez zapałek? Zapałki wynaleziono niedawno, a przedtem każdy starał się posiadać kawałek stali czyli krzesiwka i krzemień. Gdy chciał rozpalić ogień, kładł suchy grzyb drzewny, zwany hubką, lub trochę próchna i uderzał żelazem o krzemień. Od uderzenia sypały się iskry, padały na suchę hubkę, która tlić się zaczynała, więc okładano ją drzazgami, dmuchano i w końcu buchał płomień.

A jeszcze dawniej ludzie nawet tego sposobu nie znali; wtedy tarli drzewo o drzewo, aż się zapaliło; — to była

ciężka praca. Dlatego roznlecony ogień uważano za rzecz świętą i strzeżono go pilnie, żeby nie zgasł.

Ogień nie tylko grzeje, ale rozprasza ciemność, — jakież smutne byłyby wieczory zimowe bez ognia na kominku, świecy albo lampy. Dawniej ludzie palili tylko smolne drzazgi, potem dopiero wymyślono świece i lampki z oliwą, a niedawno używają do nich nafty, którą dobywają z ziemi. Oświetlamy także budynki i ulice gazem lub elektrycznością.

To też teraz wesoło i widno w mieszkaniu wieczorem, a w ciemności bez trudu ogień rozpalić możemy przy pomocy — małej zapałki.

Jak powstały jaskółki?

Czy wiecie, dziatki, dla czego jaskółki mają na całym świecie takie poszanowanie u ludzi? Oto, co o nich opowiada legenda, czyli podanie:

Pewnego razu mały Jezusinek bawił się z innemi dziećmi pod okiem Przenajświętszej Matki, która, szyjąc przed domem, co chwilę spojrzenie swoje zwracała na synka ukochanego. Dzieci bawiły się swobodnie, lepiąc z gliny ptaszki podług wzoru, który zrobił jeden z chłopczyków, aby rozweselić małego Jezusinka.

Już cały szereg ptaszków ustawiono w rzędzie, by oschły w promieniach słońca, gdy wtem na skręcie drogi ukazał się surowy rabin, nauczyciel.

— Precz z wami brudasy! — zawołał groźnie — idźcie do domów umyć umorusane ręce! Kij mój poczujecie na grzbiecie swoim, jeśli raz jeszcze zobaczę was brudzących się błotem.

Już podniósł kij, aby porozbijać dzieło niewinnych dziatek, gdy mały Jezusek klasnął w rączęta. W tej samej chwili wszystkie gliniane ptaszki frunęły w powietrze. Były to jaskółki, które od czasu, jak je stworzyło Dzieciątko Jezus, trzymają się ludzi wiernie.

Kiedy Pana Jezusa przybito do krzyża, wtenczas nadleciała gromadka jaskółek, chłodząc skrzydełkami swemi zranione czoło Syna Bożego. Jedne przyniosły w dziob-

kach wodę z poblizkiego strumienia, by nią zrosić najświętszą głowę, inne wyrywały ostre kolce z cierniowej korony.

Gdy Pan Jezus skłonił głowę na krzyżu i Bogu oddał ducha, wtenczas ptaszyny z żałosnym jękiem okrążały górę z krzyżem przez noc całą. Ale skoro tylko brzask dzienny zaświtał, o cudo! jaskółki miały na sobie jakby płaszcz żałobny, a na tej nowej szacie płyszczały purpurowe punkciki, niby krople krwi.

SWAWOLA.

Z lasu wyszła gromadka dzieci, wracając ze szkoły do domu. Mali nicponie podskakiwali i śpiewali, a zwłaszcza jedna z dziewczynek o czarnych włosach, zwana z tego powodu „czarną Hanką“, swawoli najwięcej.

Wtem ukazał się jakiś obcy człowiek, który powolnym i ciężkim krokiem szedł drogą. Był to widocznie wędrowny rzemieślnik, nie znający okolicy, bo zapytał dzieci o drogę do najbliższej większej miejscowości. Z pośród dzieci wysunęła się czarna Hanka i zaczęła szeroko i daleko tłomaczyć obcemu, w którą stronę ma się zwrócić.

Przybysz podziękował uprzejmie i zwrócił się we wskazanym kierunku. Kiedy już się oddalił kawałek drogi i nie mógł słyszeć, Hanka zawołała ze śmiechem:

— A tom go zwiodła! Może teraz chodzić do wieczora, zanim znajdzie Zajezierze, dokąd chciał iść! Wskazałam mu zupełnie przeciwną stronę!

— Wstydź się, Hanusiu, — odezwała się jedna z dziewczynek: — Jesteś bez serca. Widziałaś, jak ten człowiek wyglądał znużony.

— To pobiegnij za nim, litościwa duszo! — odburknęła Hanka, ale jakoś dziwnie zrobiło jej się na sercu.

Minęło parę dni i Hanka siedziała w łaśnie z rodzicami i czeladzią przy obficie zastawionym stole, gdy ktoś zapukał do izby.

— Proszę wejść — odezwał się jej ojciec uprzejmie. W tej chwili ukazał się na progu jakiś biedny, wynędzniały człowiek, który skromnie, lecz z widoczną radością przyjął

zaproszenie do stołu. Spojrzawszy po obecnych, spotrzegł nagle Hankę, której twarz oblał szkarłatny rumieniec.

— O! to ta mała, — zawołał, — ktora mi tak uprzejmie wskazała drogę przed kilku dniami. Czy wiesz, dziecko, że o mało życiem nie przepłaciłem twej swawoli! Niedawno temu przebyłem ciężką chorobę i byłem zupełnie wyczerpany, gdym was dzieci, spotkał i o drogę zapytał. Wskazałaś mi fałszywą drogę i upadłem pod wieczór ze znużenia. Jakiś litościwy wieśniak zabrał mnie do siebie na noc i wypielęgnował, tak że mogłem dzisiaj wyruszyć w dalszą drogę. Nie sądzę, żeby to miała być złośliwość z twej strony — dodał łagodnie, — ale w każdym razie była to wielka lekkomyślność, która mogła mnie pozbawić życia.

Hanka nie śmiała podnieść oczu, do których łzy napłynęły. Przyrzekła też ojcu, który surowo ją za to zganił, że już nigdy nie dopuści się swawoli i dotrzymała słowa. Rzemieślnika wędrownego zatrzymał jej ojciec przez kilka dni u siebie, dopóki ten nie odzyskał sił zupełnie. Hanka jeszcze dzisiaj należy do tych najweselszych dzieci, ale wystrzega się pilnie wszelkiej swawoli, tak dobrze poskutkowała nauka czeladnika wędrownego!

Swawola jest brzydką rzeczą, gdy bliźniemu przynosi szkodę lub krzywdę.

JASKÓŁKA.

Trawka się zieleni
I słoneczko świeci;
I znów nam do sieni
Jaskółka przyleci;
Słonko zda się milsze
I weselsza wiosna,

Kiedy nam zadźwięczy
Jej piosnka radosna...
Niech twej piosnki, ptaszę,
Miły zabrzmi ton,
Powiedz, coś przyniosła
Nam z dalekich stron?...

